

ON ZŁAMIE DLA NIEJ
WSZYSTKIE ZASADY,
WIEDZĄC, ŻE ONA
NALEŻY DO INNEGO

BETHANY-KRIS

DRUGI TOM NOWEJ SERII MAFIJNEJ
FILTHY MARCELLOS #2

GIOVANNI



Tytuł oryginału

Giovanni

Copyright © 2016 by Bethany-Kris

All rights reserved

Copyright © for Polish edition

Wydawnictwo NieZwykłe

Oświęcim 2020

Wszelkie Prawa Zastrzeżone

Redakcja:

Joanna Tykarska

Korekta:

Justyna Nowak

Edyta Giersz

Redakcja techniczna:

Mateusz Bartel

Projekt okładki:

Paulina Klimek

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Dystrybucja: ATENEUM www.ateneum.net.pl

Numer ISBN: 978-83-8178-620-1

BETHANY-KRIS

GIOVANNI

FILTHY MARCELLOS #2

TŁUMACZENIE

PAWEŁ GRYSZTAR

OŚWIĘCIM 2021

„Nie jesteś ani lepszy, ani gorszy niż ktokolwiek inny w La Cosa Nostra. Stajesz się mężczyzną. Jesteście teraz równi tak ty, jak i twój ojciec. Nikt nie jest pośród was pierwszy, ani on, ani twoi synowie czy bracia. Wszyscy stanowimy jedność w krwi. Jak już raz staniesz się częścią tego wszystkiego, nie będzie dla ciebie żadnej silniejszej więzi”.

- *Thomas DiBella*

Dawny szef, a późniejszy *consigliere* rodziny przestępczej Cosa Nostra Colombo

Dedykacja

D,

Moja muzo... na sposoby, z jakich nawet nie zdajesz sobie sprawy.
Uwielbiam cię i kocham.

Rozdział pierwszy

Życie przypomina grę w blackjacka.

Jak w każdej grze są zasady, gracze, przegrani i wygrani.

Są nowicjusze, którzy wiedzą, że podstawowym celem jest wstrzelić się w magiczną liczbę 21, ale jej nie przekroczyć. Tak naprawdę potrafią jedynie liczyć. Są amatorzy, obserwujący talię w nadziei, że krupier osiągnie limit i da im szansę pójścia na całość. Ci są nieco sprytniejsi. Wąż koszt przegrania kolejnego doboru karty. Wreszcie są profesjonaliści. To gracze, którzy liczą karty i wiedzą, ile których zostało.

To rekiny. Wszyscy pozostali to płotki. Problem w tym, że gdy grasz w blackjacka, nikt tak naprawdę nie wie, kto jest rekinem, aż w końcu jest za późno.

W życiu jest tak samo. Czasami to tylko kwestia szczęścia w dobieraniu i kart znajdujących się na stole. Lepsza ręka daje większe szanse.

Giovanniemu Marcello życie zdecydowanie dało dobrą rękę.

– Stół pełny czy można się dosiąść?

Słodzutki niczym miód, kobiecy głos wyrwał Gio z zamyślenia, sprawiając, że wrócił do gry. Krupier kiwnął głową, sygnalizując, że do siedzącej już przy stoliku trójki może dołączyć kolejny gracz. Długie, zgrabne nogi i sięgające pasa, falujące blond włosy to było pierwsze, co Gio zauważył u młodej kobiety, która wślizgnęła się na obite skórą krzesło obok niego.

Kolejną rzeczą były jej oczy, uderzająco niebieskie i głębią sięgające duszy. Rzęsy miała tak długie, że zakrywały całe jej powieki, gdy strzeliła spojrzeniem ku swojemu nowemu towarzyszy-

szowi. Strzeliła całkiem dosłownie. Gio poczuł, jakby nagle ktoś wsadził mu pod język kulkę z waty.

– Nie będzie ci przeszkadzało, jeśli usiądę obok i zagram?
– zapytała kobieta, dodając swój zakład do puli.

Gio pokręcił głową. Wyglądała na młodą. Na pewno pełnoletnią, ale jednak młodą. Mimo to nie mógł się powstrzymać, by nie zapytać.

– A masz tyle lat, żeby móc grać?

– Właśnie miesiąc temu skończyłam dwadzieścia jeden.
Chcesz zobaczyć mój dowód?

– Nie. Wierzę na słowo.

Nieczęsto Gio rozmawiał albo interesował się młodszymi kobietami. Wolał takie mniej więcej w swoim wieku, czyli około dwudziestu pięciu lat. Można było oczekiwać u nich pewnej dojrzałości. Takie kobiety rozumiały już, że nie ma zamiaru się za nimi uganiać, a on z kolei nie chciał, by one uganiały się za nim.

Krupier odsłonił karty dla graczy, a potem rozdał jedną sobie. Ósemka pik, którą dostał Gio, stanowiła lipny początek, ale siedząca obok atrakcyjna blondynka ze swoją trójką kier miała jeszcze gorszy. Do swojej ręki nie przywiązywała jednak żadnej wagi.

– Całkiem przyjemne wesele, czyż nie?

– Pewnie. Sam jednak nie jestem zbyt wielkim fanem wesel
– przyznał Gio.

Jego wzrok rozpraszał granatowy jedwab jej sukni. Sięgała kilka centymetrów ponad kolana, co tylko ciągnęło jego oczy bardziej w dół, ku dopasowanym, zamszowym czółenkom z odkrytymi palcami, które oparła o nogi krzesła.

Gio zaczął szukać w zakamarkach umysłu, próbując ustalić, kim jest ta dziewczyna. Wydawała się dziwnie znajoma. Obejrzał ją szybko jeszcze raz. Na jej palcu nie było żadnego pierścionka, który mógłby sygnalizować, że jest zaręczona.

– Ze strony pani czy pana młodego? – zapytał po krótkim namyśle.

– Młodego, jak sądzę. Ze względu na powiązania. Jak chyba większość, nie?

Aaaa, jasne. Tu go miała. Nie było tajemnicą, że świeżo upieczona żona Luciana nie miała możliwości zaproszenia zbyt wielu krewnych, którzy mogliby zjawić się na imprezie. Obejmującą osiemset osób listę gości sporządzono, przykładając do tej kwestii wielką wagę. Organizatorzy wypełnili kościół po brzegi.

– Nie zapytasz mnie o to samo? – powiedział Gio, unosząc brew.

– Wcześniej stałeś obok pana młodego jako jeden z dwóch dżurków, czyż nie?

Cholera.

Tu też go miała. W oczywisty sposób siedziała bliżej ołtarza niż większość gości. Zwykle pierwsze dziesięć rzędów ławek rezerwowano dla rodziny, przyjaciół i gości specjalnych państwa młodych... albo ich syndykatów z Cosa Nostry.

Ewidentnie drinki, które Gio wypił, grając w blackjacka, kieszko komponowały się z zielskiem, które potajemnie wypalił po ceremonii. Do cholery, wiedział, co jeszcze wydarzy się tego dnia. Oznaczało to, że musi siedzieć spokojnie, uśmiechać się i sprawiać dobre wrażenie. Plan kompletnie do dupy, więc jego umysł wkrczał na niebezpieczne tory nudy. A gdy Gio się nudził, nagle mogło się zrobić całkiem interesująco.

Zachowywać się jak najlepiej – przypomniał sobie.

Szlag, Lucian miał szczęście, że Gio kochał jego głupie dupsko.

Wesela...

Gio wzdrygnął się na samą myśl o tym słowie. Chodziło nie tylko o nie. Wyraz ten tańczył w jego głowie z innymi ważnymi słowami, takimi jak „miłość”, „dzieci” i „na zawsze”. Przebywanie na weselu zdawało się podkreślać, że był singlem i planował nim pozostać jeszcze co najmniej przez jakiś czas.

Jezu, jeśli jeszcze ktoś go zapyta, gdzie jest jego partnerka na ten wieczór, to autentycznie...

– Chyba rzadko się widuje, żeby było dwóch dżużbów? – zapytała atrakcyjna blondynka.

– Lucian nie chciał wybierać spomiędzy dwóch swoich braci.

– Panie Marcello?

Krupier czekał, aż Gio się zdecyduje. Nie zastanawiając się zbyttnio, wysunął jeden palec na stół, żeby zasygnalizować, że weźmie jedną kartę. Okazało się, że to siódemka karo. Piętnaście na ręce stanowiło gorszy wynik niż do tej pory. Był stanowczo za blisko przekroczenia 21, a pozostałe w talii karty sprawiały, że prawdopodobieństwo też nie działało na jego korzyść.

Niekoniecznie miało to teraz znaczenie. Skupił się na siedzącej obok niego kobiecie.

– Myślisz, że dokonasz takiego samego wyboru, kiedy przyjdzie twoja kolej? – zapytała.

– Nie.

– Dlaczego? Czyżbyś preferował kogoś z tej dwójki?

Był już zmęczony masą pytań, a jego umysł wciąż starał się ustalić, kim jest ta kobieta, więc dla odmiany sam zapytał:

– Jak masz na imię?

– Przyjaciele mówią mi Kim.

Gio smakował to imię na języku. Po cichu próbował sprawdzić, czy naprawdę pasuje ono do dziewczyny, czy może po prostu skłamała, chcąc zaspokoić jego ciekawość. Właściwie to nie miała powodu, by go okłamywać.

– Po prostu Kim, tak? – zapytał, wyszczerzając zęby w uśmiechu. – Kim bez nazwiska?

– Na dzisiejszą noc. Jutro znów zostanę tym, kim będę musiała być.

Coś w tonie jej głosu sprawiło, że serce w piersi Gio na ułamek sekundy zamarło. Rozumiał te słowa lepiej, niż mogłoby się jej wydawać.

Gio był „tym trudnym”. Czarną owcą. Był samowolny i, poważnie, uwielbiał to. Zwykle nie miał w zwyczaju zastanawiać się nad tym, co robi, ale był też sprytny jak cholera i potrafił się wykaraskać z większości sytuacji, w jakie się wpakowywał.

Był też nieostrożny, ale nigdy beztrojski. Nienajlepsza dycho-
tomia w świecie, w którym każdy musiał być doskonale spójny. Gdzie wszystko musiało zostać od początku do końca wyjaśnio-
ne i zrozumiane.

Tylko że to nie pasowało do Gio.

– Rozumiem – powiedział wreszcie.

– Powinieneś być w sali balowej, tańczyć i świętować ze swoim bratem i jego nową żoną – stwierdziła Kim, posyłając mu spojrze-
nie, które wywołało w nim wewnętrzną walkę.

– Powiniennem.

– Tylko że to do ciebie nie pasuje, co?

Gio wzruszył ramionami.

– Coś w tym guście.

– Panie...

Gio znów wysunął jeden palec na stół, przerywając krupie-
rowi i nie zastanawiając się nawet, czy powinien dobrać kartę. Dostał króla trefl, co zdecydowanie przekraczało docelowe 21. Mógł się tego spodziewać. Zapewne powinien był spasować tym ostatnim razem, ale ktoś go rozpraszał.

Im dłużej Gio wpatrywał się w Kim, tym bardziej czuł się pi-
jany. Nie do końca był pewien, co powodowało to odczucie. Brał w swoim życiu rozmaite rodzaje nielegalnych substancji i wypił dość alkoholu, żeby rozpoznać to lekkie oszołomienie połączone z pobudzeniem, kiedy tylko je poczuł. Wystarczyło, że dziewczyna siedziała kawałek od niego, by nerwy się wyculiły, jakby narkotyk albo alkohol przelewał się wprost od niej do niego.

Działy się jakieś zwariowane rzeczy.

A on chciał wiedzieć dlaczego.

– Proszę pani? – zwrócił się krupier do Kim.

Dopiero wtedy Gio zauważył, co dziewczyna ma na ręce: trójkę i ósemkę. Jedenaście. Jakie kurewskie trzeba było mieć do tego szczęście? Krupier spasował przy siedemnastu – limicie kasyna. Wszyscy pozostali albo spaszowali, albo zrezygnowali z doboru, albo przekroczyli 21. Z wyjątkiem Kim. Musiała tylko przebić kasyno. I autentycznie miała na to cholernie dużą szansę.

Kim uśmiechnęła się do Gio. Widok był niemal zbyt niewinny, żeby był prawdziwy.

– Prawdopodobieństwo, że dostanę coś niżej niż piątka, to czterdzieści procent. Pięć, że będzie to szóstka. Pięćdziesiąt pięć, że przebiję kasyno. Jest ryzyko. Dla niektórych to zbyt blisko pół na pół. Jaka by była twoja decyzja, Giovanni?

Skąd znała jego imię?

Nigdy nie wiadomo, kto jest rekinem.

– Dobrałbym kartę.

– Ja również. – Kim skinęła głową do krupiera, by rozdał jej kolejną kartę, i nawet nie mrugnęła okiem, gdy się okazało, że ma jacka. – Proszę zatrzymać mój zakład – powiedziała krupierowi, wzruszając ramionami. – Liczyłam karty. A to nieuczciwie.

Równie łatwo jak wślizgnęła się na krzesło przy stole do blackjacka, wstała i chciała nagle odejść. Gio sięgnął ręką i nawet nie zastanawiając się, co robi, złapał Kim za nadgarstek. Tak samo jak w przypadku wyniku gry, nie wydawała się ani trochę zaskoczona tym, że nie pozwolił jej się oddalić.

Kim, do kurwy nędzy, była ta dziewczyna?

– Nie odpowiedziałeś na moje pytanie – powiedziała Kim, a ciepło jej skóry przenikało do dłoni Gio niczym narkotyk.

– Które?

– Dlaczego nie zrobisz tego, co twój brat, i nie weźmiesz obu?

– Bo nie zrobię tego wcale – odparł Gio, kierując wzrok na przejście oddzielające salę taneczną od pomieszczenia, gdzie zorganizowano kasyno.

– Wesela czy ślubu?

– Ma to jakieś znaczenie?

Kim znów wzruszyła ramionami.

– Nie.

Gio jakoś w to wątpił.

– Może to po prostu nie w moim stylu, *tesoro*.

Nie umknął mu wyraz zrozumienia, jaki błysnął w jej oku, gdy użył pieśzcotliwego słowa, jakim Włosi zwracali się do ukochanej. Czy rozumiała, co ono znaczy? Skarbie. Moja droga. Kochanie. Gio nie zdążył się zastanowić, bo wymsknęło mu się z ust tak łatwo dlatego, że słyszał, jak jego ojciec dzień w dzień mówił tak do ich matki.

– A może nie jestem typem, który by się chciał zenić – dodał.

– A może po prostu nie znalazłeś jeszcze takiej, która by cię poskromiła.

Na jego usta wkradł się uśmiech.

– Zabawa jest nie w poskromieniu, tylko w poskramianiu.

– *Si* – zgodziła się.

Kim wyciągnęła nadgarstek z dłoni Gio, nie mówiąc więcej ani słowa. Nie był całkiem pewien, czy chce, aby tak właśnie zakończyło się ich spotkanie, zważywszy na dziwny pociąg, jaki zaczynał oplatać jego zmysły, i narastające wewnątrz pożądanie. Mimo wszystko odchylił się na oparcie krzesła i obserwował, jak niebieskie czółenka oddalają się od stolika. Kim nawet się nie obejrzała.

Gdy zniknęła w strumieniu ludzi przechodzących z sali tańecznej do kasyna, Gio ponownie odwrócił się do stołu.

– Panie Marcello? – odezwał się krupier, znów zwracając na siebie jego uwagę.

– Uhm? Myślę, że na ten wieczór starczy.

– Nie, proszę pana. Proszę spojrzeć na stół. To było pod jej kartami, gdy je podniosłem.

To mówiąc, mężczyzna podał mu kartę do hotelowego pokoju. Z przodu była nazwa hotelu, wypisana fantazyjną czcionką

złotymi, tłoczonymi literami. Znajdował się dokładnie naprzeciwko lokalu, w którym się aktualnie znajdowali. Z tyłu, zaraz nad kodem kreskowym, znalazł piętro i numer pokoju.

Niech to szlag... Właściwie Gio lubił ryzyko.

Czymże było jedno więcej?

– Dziękuję.

Gio włożył kartę do wewnętrznej kieszeni smokingu, a następnie odszedł od stołu. Znalezienie jedyńych ludzi w budynku, z którymi musiał się pożegnać, nie zajęło mu wiele czasu. Wstał, przecisnął się przez tłum ludzi na parkiecie, po czym wyłapał wzrokiem swojego starszego brata oraz świeżo upieczoną szwagierkę. Tańczyli. Uśmiechali się. Tak bardzo szczęśliwi.

Gio nie przepadał za weselami, więc przetrwanie całego dnia wymagało od niego mnóstwo cierpliwości, ale dla tej jednej sekundy było warto. Lucian był pełen radości i szczęścia. Zdecydowanie zasłużył sobie na swoją narzeczoną i ciepłe uśmiechy, jakie mu posyłała, ukryta za jego policzkiem.

A sama Jordyn... Była idealną kobietą dla brata Gio. Widział to każdy, kto nie był totalnie ślepy.

– Hej, stary. – Gio nie zauważył, jak Dante zjawia się obok niego, póki środkowy z braci Marcello się nie odezwał. – Gdzie byłeś?

– Przy stoliku do blackjacka.

Dante się zaśmiał.

– Wygrałeś?

– Przez pewien czas się udawało. Potem coś innego przykuło moją uwagę.

– Wychodzisz – stwierdził Dante z nutą rozczarowania w głosie.

Gio wzruszył ramionami.

– To nie jest przyjęcie w moim stylu. Zbierałem się, żeby się pożegnać, ale nie chciałem przeszkadzać.

– Nie pozwól, żeby mama zauważyła, że tak wcześnie się wy-
mykasz, Gio. Dostanie zawału.

Rozejrzał się w tłumie, próbując dostrzec któreś z rodziców. Nie zauważył żadnego. Antony najpewniej przyjmował właśnie gratulacje od kilkunastu mafiosów z całego kraju. To nie byle co, gdy mafijny książę, taki jak Lucian, się ustatkuje, nawet jeśli kobieta nie była powiązana z Cosa Nostrą. Cecelia z kolei najprawdopodobniej zajmowała się rodziną i przyjaciółmi. Oboje rodziców dobrze odgrywało swoje role.

– A gdzie Antony? – spytał Gio.

– Gra w „kto ma większego” z Nunzem Abellą z Vegas. Nie mam pojęcia, dlaczego sobie zawraca tym głowę. Nunz to złamany kutas i nie ma znaczenia ani dla rodziny, ani dla interesów.

– Jak ty obejmiesz przewodzenie rodzinie, to będziesz wiedział dlaczego – odparł Gio. – Chodzi o szacunek. Cosa Nostra Nunza działa na małą skalę, ale w dużej branży. Nic go tak nie wkurwia jak to, gdy zdaje mu się, że Antony go ignoruje. No i zawsze kiedy się spotkają, pojawia się sprawa braku okazanego szacunku. Wychodzi to z Nunza jak krowie gówno. Jest nim tak szczelnie wypełniony, że dziwię się, że jego pierdolone oczka nie są brązowe.

– Tata nie powinien był go zapraszać – wymamrotał Dante.

– Nie mógł go nie zaprosić. Źle by wyglądało zaproszenie rodzin z otoczenia Nunza, jednocześnie pomijając jego. Cholera, zaprosili nawet przywódcę Chicago Outfit i jego żonę, mimo tego całego starcia dwa lata temu. Jak dotąd wciąż tego nie załatwiono. Jak by to świadczyło o Antonym, gdyby zaprosił tych, których wciąż uznaje za wrogów, ale nie osoby, które uważa za naszych przyjaciół, nawet jeśli ten przyjaciel to jebany lachociąg?

Dante kiwnął głową na znak zgody.

– No prawda. Kurwa, szkoda, że taty tu teraz nie ma. Nieźle by się zdziwił, słysząc, jak mówisz o tych wszystkich sprawach, jakbyś naprawdę przykładał do tego wagę.

– Bo przykładam – warknął urażony Gio. – Robię, kurwa, co do mnie należy. Jestem szyprem. Zajmuję się takimi rzeczami.

– Zluzuj. Żartowałem. Chciałem tylko powiedzieć, że dobrze by było, gdyby tata nie musiał się ciągle zamartwiać, że coś spierdolisz.

Gio przewrócił oczami. Ojciec tak bardzo się troskał, że jego rodzina musi się borykać z „biednym, małym Gio i jego nawykami”. Potem jednak uśmiechnął się nikczemnie do swojego starszego brata. Wróciła jego wcześniejsza pewność siebie, a wraz z nią pozostałości podniecenia po wcześniejszym spotkaniu z Kim. To jednak zaczynało powoli mijać.

Chciał znów poczuć to pobudzenie.

– Nie mówiłem, że niczego nie spierdoliłem, tylko że ogarniam sprawę.

Wyglądało na to, że Dante nie do końca miał pomysł, jak na to odpowiedzieć. Gio zawsze wiedział, jak zamknąć komuś usta, gdy tylko tego chciał. Nawet swoim braciom.

– Właściwie to możesz mu przerwać – powiedział Dante, skinąwszy głową w kierunku tańczącej pary. – I tak wszyscy to robią przez cały wieczór. Pieniądze, pocałunki i gratulacje. Wiesz, jak to jest.

Po raz pierwszy w ciągu całego dnia Gio zauważył ślad obrzydzenia w głosie swojego starszego brata. Dante dość na luzie podchodził do całego tego ślubnego pieprzenia. Może dlatego, że choć na chwilę uwaga wszystkich została odwrócona od niego.

– A kiedy na ciebie przyjdzie pora, co? – zapytał Gio.

Dante nie miał ochoty znajdować sobie żony i się ustatkowywać. To była dla niego gówniana sytuacja, bo to on był następcą głowy ich mafijnej rodziny. Tyle że zgodnie z zasadami Komisji, aby móc objąć tę funkcję, musiał mieć żonę.

Dante zmarszczył czoło.

– Też sobie zadaję to pytanie. Staram się tym nie zamartwiać. To co? Do zobaczenia jutro!

– Taa, na razie.

Dante zaczął się znów przeciskać przez tłum, machając dwoma palcami na pożegnanie, a tymczasem Gio starał się dotrzeć do najstarszego brata. Lucian zauważył, że się zbliża, i zwolnił w tańcu, aż w końcu oboje z Jordyn się zatrzymali. Wydawało się, że odgadł również wyraz twarzy Gio.

– Wymykasz się, co? – zapytał Lucian.

Najwyraźniej nietrudno go było rozczytać.

– Taaa, zanim zrobi się zbyt głośno.

– Jedyny hałas, jaki dzisiaj usłyszą, to moje opony piszczące na podjeździe, gdy będę odjeżdżał – odparł Lucian, po czym krótko się zaśmiał. – Sam mam już tego dosyć.

Jordyn żartobliwie pacnęła go w ramię.

– Przestań, Lucian. To był dobry wieczór.

– Tak, *bella*, ale też i długi dzień.

– Nie jesteś na mnie wkurzony, że wychodzę wcześniej? – zapytał Gio.

– Nie. To gdzie się wybierasz w tę noc?

Gio sugestywnie uniósł brew i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Tam, gdzie jest piękność z długimi nogami, niebieskimi oczami i blond włosami.

– Świetnie – parsknęła Jordyn. – Jeszcze nam podbiera gości weselnych. Wspaniale.

Lucian wydał z siebie ostrzegawczy dźwięk.

– Uważaj, stary, z kim z tego tłumu dzisiaj wychodzisz. Jest tu mnóstwo twarzy, których my nie znamy, ale tata owszem. Nie narób bałaganu tam, gdzie może chodzić o interesy. To może mieć złe skutki dla ciebie albo rodziny.

Gio machnął ręką. Nie dbał o problemy, jakie wynikną ze spotkania z Kim, gdy już wyjdzie z tego budynku.

– Martw się, żebyś wy dostał stąd swoją żonę, Lucian, a nie z kim się dziś będę pieprzył.

– I z tymi optymistycznymi słowami... – warknęła Jordyn, kręcąc głową – ...życzymy ci dobrej nocy, Gio.

Uściskał brata, przytrzymując jego rękę o sekundę dłużej niż normalnie.

– *Ti voglio bene*, chłopie. Gratulacje.

Lucian się uśmiechnął.

– *Ti voglio bene*.

Gio był niemal pewien, że kątem oka dostrzegł przy wejściu do budynku błysk błękitu i blond włosów. To był dla niego sygnał, żeby się zbierać, zanim ktoś spróbuje zatrzymać go na rozmowę.

Dwadzieścia minut później Gio stał przed drzwiami prowadzącymi do pokoju hotelowego o numerze zgadzającym się z tym, który widniał na odwrocie karty.

Przez chwilę się zastanawiał, czy powinien zapukać, czy może po prostu skorzystać z karty. Nie myślał nad tym długo. Kim zostawiła mu klucz, a zatem, według niego, intencja była jasna. Chciała, by go użył. Tak też zrobił.

Gio zamknął drzwi, kiedy tylko wszedł do środka. W słabo oświetlonym pomieszczeniu unosił się zapach jaśminu. Kim siedziała po drugiej stronie pokoju, na ławce przy oknie, którego zasłony były zasunięte. Na jej twarzy spomiędzy woalu włosów przebijał szkarłatny łuk uśmiechu. Nachyliła się, żeby zdjąć czótenka.

– Byłam pewna, że się nie zjawisz – powiedziała, prostując się.

– A to dlaczego?

– Może dlatego, że to ryzykowne.

Gio rzucił kurtkę na fotel stojący w rogu, a Kim odsunęła zaimek swojej jedwabnej sukienki. Gdy się obróciła, żeby upewnić się, że dociągnęła go do końca, spod tkaniny wyjrzał kremowy łuk jej talii i kawałek piersi.

– Wstań – zażądał Gio.

Kim bez słowa zrobiła to, a dłonie opuściła tak, że spoczęły na jej biodrach, po czym przeszła przez pokój. Im bardziej się do niego zbliżała, tym mocniej sobie uświadamiał, że jego pierwsza

reakcja na dziewczynę była prawdziwa. Sprawiała, że czuł się dziwnie – w dobrym znaczeniu tego słowa.

Pijany bez powodu. Lewitujący w powietrzu.

Poszukiwał tych uczuć od czasu, gdy skończył czternaście lat. Stałych. Ostrych. Niebezpiecznych. Tym razem nie było tak samo. To przyszło natychmiast, ale rozchodziło się powoli. Zagłębiało się równocześnie w żyły, płuca i mózg.

Gio nie był jakimś pierdolonym kretyńcem. Rozpoznał pociąg, jak tylko go poczuł. Podążał za głosem pożądania, kiedy wyczuwał je też po drugiej stronie. Ale to... Co to, do kurwy nędzy, miało być?

– Wiedziałaś, jak mam na imię – powiedział Gio, zatrzymując się tuż przed nią. – Skąd?

– Znam twoją rodzinę – odparła Kim. – To wszystko.

Gio przypomniał sobie słowa Luciana ostrzegające go, żeby zachował ostrożność.

– Nie żeby to miało w tej chwili jakieś znaczenie, ale czy jutro będę miał z tego powodu jakieś kłopoty?

Kim zawahała się, ale tylko przez chwilę.

– Raczej nie. Robimy to tylko dla zabawy, prawda?

Przyjął taką odpowiedź. Na razie.

– Jasne. Kto nauczył cię liczyć karty? – zapytał Gio.

Ściągnął z niej sukienkę, opuszczając ją z ramion. Kim go nie powstrzymała, co uznał za znak, że chce, aby kontynuował. Poczuli ustami jedwabiącą gładką skórę, zanim ugryzł ją w jędrne, słodkie ciało.

Kim westchnęła, gdy sukienka opadła niżej, aż w końcu zsunęła się na podłogę. Cholera! Jakby ktoś spytał Gio, miała perfekcyjne piersi. Doskonale pasowały do jego dłoni, a sutki natychmiast stwardniały pod wpływem jego dotyku.

– Takie wrażliwe... – wymruczał w jej obojczyk. – Kto cię nauczył liczyć karty? Powiedz.

– Nikt. Tak naprawdę kiepsko radzę sobie z angielskim, ale zupełnie dobrze z matematyką. Liczenie kart to właściwie dość podstawowa sztuczka. W zasadzie to nawet nie było liczenie, tylko kalkulacja prawdopodobieństwa.

Porzucił jej piersi, po czym zjechał dłońmi na płaski brzuch. Poczul wystający pępek pod kciukiem, zanim skierował się w dół i zagłębiając palce pod czarne, koronkowe majtki, dotarł do słodkiego miejsca między jej udami.

– Zniknij, nim nastanie ranek – powiedziała miękko Kim.

Gio zamarł, patrząc prosto na nią. Szczerłość stanowiła najlepsze podejście i założył, że to spotkanie nie będzie inne od poprzednich. Nie miało znaczenia, czy chce poznać tę dziewczynę. Gio nie był na właściwym etapie życia, żeby robić takie rzeczy.

– Zwykle tak właśnie robię, Kim.

Uniosła brwi, a potem przygryzła dolną wargę.

– Nie chodzi o ciebie. Rano nie będę już mogła być po prostu Kim. Dlatego właśnie wtedy nie może cię już tutaj być.

Gio zrozumiał, mimo tego, jak dziwnie to brzmiało.

– Tej nocy bądź, kimkolwiek tylko zechcesz, *tesoro*. Ale mam pytanie.

– Uhm, jakie mianowicie? – zapytała, zaczynając drzeć, gdy jego kciuk zakreślał powolne, leniwe kręgi wokół jej łechtaczki.

– Dlaczego ja?

Jej twarz rozświetlił szelmowski uśmiech.

– W kościele wyglądałeś na znudzonego. Tak samo w czasie kolacji. Wydawało się, że przyjęcie nie jest w twoim stylu. Chciałam sprawdzić, czy potrafię wywołać u ciebie uśmiech.

Gio zaśmiał się mrocznie, rozkoszując się jękami Kim, podczas gdy jego palce wślizgiwały się między jej fałdki.

– Cóż, na pewno ci się to udało.